

## STAN WOJNY

Zapadła ciemność. Mróz tężał. To przedmieście opustoszało przedwcześnie. Tylko stamtąd, gdzie forticznym masywem czerniała huta, dochodził nieustający chrzęst. To czołgi i transportery na gąsienicach zbliżały się do zabarykadowanych bram kombinatu. Wojsko otaczało hutę. Również w tamtym kierunku podążała kolumna żołnierzy z karabinami opatrzonymi w bagnety. W światłach nielicznych latarni pobłyskiwała nieoczekiwanie. Bił od niej zimny blask. Drogę do huty zagradały betonowe zapory. Przy nich stali dwaj wartownicy w uszatyh czapkach. Przytupywali nogami i zabijali dłonie. Przez piersi mieli przewieszane pistolety maszynowe. Po przeciwnej stronie przegrodzonej drogi żarzył się koks w piecyku. Trzeci z trzymających straż żołnierzy grzał się przy nim. Rozgarniał prętem czerwone węgle.

Długie, ostre jak sztylety sople lodu zwisały z okapu kamienicy. Wartownik odsunął się trochę od ściany domu, niebezpiecznie najeżonej u góry. Nieliczni przechodnie omijali żołnierza z daleka. Odprowadzał ich czujnym spojrzeniem. Wtedy jego dłonie opuszczały strefę ciepła nad ogniem i spoczywały na maszynowej broni. Ludzie szybkim krokiem przechodzili ulicę. Nie patrzyli w jego stronę. Okna kamienic były ciemne, wygaszone. Mijał trzeci dzień stanu wojny i zbliżała się już godzina policyjna.

Z bocznej uliczki wyjechała taksówka. Zbliżyła się do zablokowanej drogi. Zatrzymała się przed betonowymi kozłami na jezdni. Wartownicy podeszli do samochodu. Broń trzymali w pogotowiu. Kontrola dokumentów. Otworzyli bagażnik. Długo w nim przetrząsali. Taksówka zawróciła.

Zapanowała cisza. Chrzęst pancernych pojazdów w pobliżu huty za-

cichł zupełnie. Długo nikt się nie pokazywał. Toteż nagły odgłos kroków zabrzmiał bardzo hałaśliwie. Ktoś powolnie i ciężko przesuwał stopami. Zgarbiona, niekształtna sylwetka zamajaczyła w bramie. Przykuśtykała do koksowego piecyka. Była to stara kobieta z workiem przewieszonym przez ramię. Młody żołnierz popatrzył na nią uważnie. Zrzuciła swój ciężar z pleców. Twarz miała chudą, pełną zapadlink i bruzd. Spod chustki opadały na czoło kosmyki siwych włosów. Zaczęła grzać ręce nad żarem.

— Zimno ci, żołnierzyku — powiedziała i przykuiliła się nad piecykiem. Przymknęła oczy.

Od strony huty rozległ się przenikliwy dźwięk syreny. Rozdarł mroźną ciszę. Wartownicy przy drodze poruszyli się niespokojnie. Młody żołnierz też zapatrzył się w tamtym kierunku. Stara kobieta nie poruszyła się nawet. Wyglądała jak martwy kształt. Trzymała nad żarem dłonie. Reumatyczne i wykrzywione palce drżały nieustannie. Młody żołnierz poruszył się niecierpliwie. Ciężyc mu zaczęła obecność starej kobiety. Chrząknął i spojrzał wymownie na swój ręczny zegarek. Wtedy ta stara ociężała uniosła głowę.

— Żal... Żal wszystkich... — powiedziała cichym, zdartym głosem. — Żal i ciebie... — wlepiła w żołnierza oczy starej matki. Były to zarazem oczy jastrzębia, wyjedzone i przenikliwe. — Krew na śniegu... Patrz, żołnierzyku!

Młody żołnierz, wyraźnie zaskoczony, rozejrzał się wokół siebie. Śnieg tutaj skrzył się mroźną bielą. Nieskalanie biały śnieg. Wzdrygnął się. Mróz potęgował się. A te słowa starej były jeszcze bardziej lodowate. I tak wpatrywała się w niego uparcie.

— Co wy, babko! — odezwał się wreszcie i bezwiednym gestem przesunął pistolet maszynowy przewieszony przez piersi. Był to młody chłopak o pucułowatej, wiejskiej twarzy. Opuścił głowę i czubkiem buta zaczął żłobić śnieg.

Stara kobieta zrzuciła swój żebraczy worek na plecy. Począpiała powolnie. Zaraz zniknęła w ciemności. Tylko śnieg chrząścił pod jej nogami.

— Kto tam?! — zawołał jeden z wartowników pilnujących drogi do huty.

— Głupia jakaś! — odrzyknął po chwili wahania młody żołnierz. Kucnął przy piecyku. Koks potrzaskiwał. Dym, ogień...

1 stycznia 1982 r.